

Prof. Chodakiewicz: Brexit or not



Piszę to w przeddzień referendum w Wlk. Brytanii. Brytyjczycy czują, że ich samorząd, ich prawa, ich niepodległość nie leżą w ich rękach, a znajdują się w jurysdykcji niewybranych przez nikogo biurokratów z Brukseli. To zaprzeczenie demokracji! Stąd oddolny bunt. Nie chcę wróżyć, co będzie, bo sondaże pokazują właściwie remis, szczególnie po ohydnym mordzie euroeuforycznej posłanki do parlamentu przez fanatyka spod znaku „Britain First!” (Najpierw Brytania!). Jest mniej więcej 50/50.

W USA jest taka zasada, że jeśli walczący w wyborach idą łeb w łeb, ich zwolennicy pomagają swoim faworytom. W notorycznie skorumpowanym Chicago ukuto nawet takie powiedzenie: „vote early, vote often” („głosuj wcześniej, głosuj często”). Chodzi o to, aby głosować na swego kandydata po kilka razy. Gdy między kandydatami jest spora różnica w sondażach, oszukiwanie niewiele daje. Ale na małą skalę każdy oszukany głos się liczy. Stąd słyszymy o autobusach bezdomnych i bezrobotnych czy nielegalnych emigrantów, które krążą od komisji do komisji, głosując wielokrotnie na przykład na Obamę. Albo taka sztuczka z maszyną do głosowania elektronicznego pod Miami na Florydzie, gdzie niespodziewanie wygrał paleokonserwatysta katolicki Pat Buchanan. A był to dystrykt wyborczy, w którym przeważali żydowski emeryci z Nowego Jorku, gdzie „od zawsze” bezpiecznie wygrywali liberałowie ze sporym odchyłem lewackim.

Być może autobus z nielegalnymi to bajka, a pod Miami zwyczajne spięcie unieruchomiło maszynę, ale każde amerykańskie dziecko wie (a przynajmniej wiedziało do zapaści systemu edukacyjnego po rewolucji kontrkulturowej lat sześćdziesiątych), co to Tammany Hall – skorumpowana organizacja Partii Demokratycznej, która trzęsła Nowym Jorkiem przez niemal kilkadziesiąt lat, zarządzając ustawionymi wyborami w XIX w.

Jak będzie w Wielkiej Brytanii? Jeśli chodzi o referenda, to Unia Europejska ma inne zwyczaje. Jak to powiedział pewien polityk: „They will vote until they get it right” („Będą głosować, aż zagłosują tak jak trzeba”). Stąd w Danii, Irlandii, Holandii czy Francji powtarzano referendum aż do skutku. Początkowo lud głosował na „nie”. Gdy głosowanie powtarzano, do urn stawiało się coraz mniej ludzi i w końcu głosowanie było na „tak”. Taka demobilizacja wyborcy za pomocą wojny pozycyjnej (war of attrition).

Ale kto wie? Brexit jest tak ważny dla elit brukselskich, że chyba nie przepuszczą. Brexit to nie byle jakie referendum. To początek rozpadu UE. Biurokraci z Brukseli nie dali odpaść wielokrotnie zbankrutowanej Grecji. Rządzący UE Berlin wymusił na podatniku niemieckim sfinansowanie ratunku dla Aten, bo była to sprawa prestiżu i integralności projektu UE. Po rozpadzie Związku Sowieckiego było stosunkowo łatwo skleić superpaństwo bez wolnej gospodarki, manipulując elitami i olewając lud. Ale teraz coraz trudniej tę brukselską pokrakę utrzymać.

A mieszkańcy Zjednoczonego Królestwa? Byłem w Glasgow, Southampton i Londynie dwa tygodnie temu. Zupełny spokój i brak docenienia ważności chwili. Stolica żyła wyborem pierwszego muzułmanina na burmistrza. Londyńczycy głosowali według klucza partyjnego, czyli się podzielili. Emigranci i ich dzieci według religii i narodowości. Pytałem o referendum. Nie wzbudzało to większych emocji. W Glasgow mówiono o tym w sposób raczej zblazowany. Odwrotnie niż w sprawie niepodległości Szkocji. Wtedy emocje szalały, kilty latały w górę, czuć było wielką stawkę. Pytałem nawet tamtejszą Polonię – co będzie, jak Brexit się uda. Nie bardzo się nad tym zastanawiali. Straszylem, że będą ich deportować. Tylko się śmieli.

Czego można się spodziewać? W razie głosu na „nie” – to już nie będzie „business as usual”. Bruksela będzie musiała czymś Brytyjczyków przekupić. Być może dostaną taryfę ulgową w sprawie emigrantów, będą mogli deportować, ograniczać ich dopływ. Coś takiego jak Francja uzyskała w latach sześćdziesiątych w sprawie polityki rolnej. Czyli będą łapówki dla Londynu, naturalnie kosztem innych państw członkowskich. Jeśli referendum będzie na „tak”, to można spodziewać się poważnego przetasowania. Po pierwsze, Brexit to znak dla eurofobów i eurosceptyków, żeby się albo dystansować, albo nawet ewakuować z brukselskiej struktury. Może z tego wyniknąć nawet miła decentralizacja i Europa Ojczyzn albo zupełny rozpad. Dlatego już euroentuzjastów męczy wizja następnego referendum antyczłonkowskiego w Holandii czy Danii.

Trend decentralizacyjny może się przenieść nawet na Europę Środkową i Wschodnią. Bo i tam obywatele zaczynają się zastanawiać. Korzystne jest to, że każdy może sobie jeździć gdzie chce, studiować gdzie się podoba, oraz łapać pracę gdzie znajdzie. Europejskie subsydia głównie dotyczą biurokracji i sztucznych projektów gospodarczych, jak ścieżki rowerowe czy wiatraki (tzw. czysta energia). A głównym atrybutem Brukseli miało być to, że UE miała nas bronić przed wojną, a szczególnie inwazją z zewnątrz. Jak pokazują wojny bałkańskie, inwazja rosyjska na Ukrainę oraz stałe umizgiwanie się Berlina do Moskwy, trudno mówić o europejskiej solidarności militarnej czy chęci umierania kogokolwiek za Gdańsk. Od tego jest NATO, czyli Ameryka.

A co z USA? Brexit oznacza, że Londyn zbliży się jeszcze bardziej do Waszyngtonu i odetnie od Brukseli. Oznacza to powrót splendid isolation. Dla Polski to źle, bowiem oś Wielka Brytania-RP w ramach UE wzmocniła NATO i pozycję Waszyngtonu na Starym Kontynencie. Było to swoiste lobby gwarantujące amerykańską obecność i interwencję. Teraz Waszyngton będzie musiał wciągać Londyn do awantur w Europie, a nie odwrotnie. Dobrze, że jeszcze jest NATO.

Idą ciekawe, niebezpieczne czasy. W związku z tym Polsce przydałaby się bomba, może być neutronowa, jak podpowiada mój szef. Brexit czy nie Brexit, polska raison d'être pozostaje taka sama. Polacy muszą pozostać wolni.

Marek Jan Chodakiewicz
Waszyngton
www.iwp.edu

fot. [pixabay.com/CC0](https://pixabay.com/)